

ROZDZIAŁ I

Policyjny radiowóz z jękiem syren, migając niebieskimi lampami sygnalizatorów, przejechał z impetem, tuż przed samym nosem Zygmunta Drożdża, który dosyć mocno zamyślony podchodził do przejścia dla pieszych, koło stacji paliw Orlenu przy Kolejowej, w niedalekiej odległości od budynku komendy miejskiej. Śmignął tak blisko, że wydawało mu się, iż jeszcze trochę, a przejechałby mu po stopach.

- Gdzie im tak śpieszono, po flaszkę chyba nie lecą? Nie te czasy. – uśmiechnął się na wspomnienie dnia, kiedy przed laty, razem z Dziadkiem, swym przyjacielem i mentorem zarazem, pojechał wydziałowym radiowozem na przejście graniczne w Mioszowie, aby po czeskiej stronie zakupić dwie butelki ziołowego likieru o nazwie Beherovka. Było to w czasach, kiedy, nie wiedzieć dlaczego, alkohol ten stał się nagle bardzo popularny wśród policjantów Biura Kryminalnego KGP, których dwóch przedstawicieli akurat bawiło w wydziale. Byli tu przejazdem, albowiem w drodze powrotnej z czeskiej Pragi postanowili odwiedzić zaprzyjaźnionych z nimi policjantów z wydziału kryminalnego wałbrzyskiej komendy wojewódzkiej. Aby ich godnie przyjąć, naczelnik wydziału, Marian Rusiński, polecił mu by właśnie Beherovkę załatwił, czyli mówiąc dosadniej, wycygał ją od któregoś z chłopaków z wydziału, bo warszawskim wzorem stała się ona również wśród nich bardzo popularna. Szybko zorientował się, że żaden z nich nie kwapi się, aby swój skrzętnie skrywany zapasik za friko uszczuplić, wiedząc, że nikt mu później straty nie wyrówna. Dlatego też uznał, że szybciej będzie, jak wyskoczą na przejście w Mioszowie i migiem obrócą z powrotem. Zabrał ze sobą Dziadka, ponieważ to on miał najlepsze na tym przejściu tak zwane wejście, które utrzymywało się jeszcze z dawnych, milicyjnych, czasów. Aby skrócić czas przejazdu przez miasto do minimum, polecił kierowcy, zaraz po przejechaniu przez pl. Grunwaldzki, uruchomienie sygnałów dźwiękowych i świetlnych, aby na tak zwanej „bombie” przemknąć bez problemu przez wąskie jeszcze wtedy i pełne dziur uliczki Wałbrzycha. Pamiętał, że szybko obrócili w dwie strony, ale na drugi dzień Rusiński musiał się gęsto z tego tłumaczyć u pierwszego, któremu oficer dyżurny zameldował, że „ci z kryminalnego” znów po mieście hulali na sygnałach, bez powiadomienia i jego zgody. Trochę się mu od Rusińskiego oberwało, bo za nic nie chciał przyjąć do wiadomości, że przecież jego polecenie brzmiało „załatwcie to migiem”.

Zastanawiając się, co się mogło wydarzyć, spojrzął w lewo, ale już żaden pojazd nie znajdował się tak blisko, by mu zagrazać w bezpiecznym przejściu na drugą stronę. Śpieszył się, bo musiał załatwić kilka pilnych spraw, jakie zleciła mu Magda, z którą, po kilku samotnie spędzonych latach po rozwodzie, związał się jakiś czas temu na dłużej. Teraz trochę żałował, iż tak pochopnie obiecał jej, że na pewno wszystko w tym dniu ostatecznie załatwi, bo zdał sobie sprawę, że chyba jednak czasu na to mu jednak nie starczy. Obietnic takich tylko w tym miesiącu zdążył już złożyć kilka, ale zawsze jakieś nagle i zawsze nadzwyczaj

ważne zdarzenia, stawały mu na przeszkodzie i spełnienie ich siłą rzeczy przesuwano się na inny, bliżej nieokreślony, termin.

Dlatego z samego rana postanowił, że dziś te wszystkie zaległe sprawy postara się ostatecznie załatwić, a przynajmniej te naprawdę najpilniejsze. I aby je spełnić, przyrzekł sobie, że dziś już nic nie będzie w stanie odwieść go od realizacji obietnicy, przez co nareszcie będzie mógł Magdę poinformować, że tym razem stanął na wysokości zadania. Pamiętając o tym rażno ruszył w kierunku ulicy Chrobrego, aby w pierwszej kolejności dokonać sprawdzenia w Banku Zachodnim stanu swego konta i pobrać z bankomatu niezbędną, dla realizacji złożonych obietnic, kwotę.

Po chwili jednak obrazy nieodległej przeszłości powróciły natrętnym wspomnieniem, o tym, kiedy rok temu razem z Andrzejem Ryleckim, w gronie kolegów z wydziału, żegnali się ze swymi policyjnymi obowiązkami, które przez długie lata wyznaczały im rytm ich prywatnego życia. Z obowiązkami, które wielokrotnie stawały się zarzewiem małżeńskich burz, dyskusji, wyrzeczeń i wątpliwości, co do słuszności dokonanego kiedyś wyboru i wynikających z tego, bardziej lub mniej, koniecznych zachowań. To przecież w sumie one właśnie spowodowały, że po kilku latach wzajemnych pretensji, wspólnie z Tamarą zdecydowali, że ich drogi się rozchodzą ostatecznie, ale również, że nigdy nie będą sobie nawzajem szkodzić, a w razie potrzeby będą sobie pomagać. Uzgodnili również, a sąd to w orzeczeniu o rozwodzie prawomocnie orzekł, że na rzecz ich dwójki dzieci, księgowość będzie potrącać mu zawsze jedną trzecią jego aktualnego uposażenia i wpłacać je na konto byłej już żony.

Na to pożegnalne spotkanie, z nieodległego Wrocławia, przyjechało kilkanaście osób z wydziału, wraz z zastępcą naczelnika, Markiem Bogaczem, popularnie zwanym Majorem. Pamiętał składane wtedy deklaracje, o wdzięcznej pamięci i trwałej przyjaźni, o konieczności utrzymywaniu stałego kontaktu, pomocy i wsparciu w razie potrzeby. W krótkim czasie, jaki minął od tego pożegnania, bez większego zresztą zdziwienia, skonstatował, że te wydawałoby się szczere deklaracje, okazały się jedynie pustymi słowami, będącymi efektem zwyczajnej poprawności, rutyny i dobrego tonu. Tak się po prostu zawsze mówiło, deklarując odchodzącym kolegom pamięć, pomoc i koleżeństwo, niezależnie od rzeczywiście dla nich sympatii.

Teraz, na własnej skórze odczuł to, o czym wielokrotnie mówił mu Jurek Konarzewski, zwany przez przyjaciół Dziadkiem, a jego słowa szybko znalazły potwierdzenie, gdy już po kilku miesiącach wszelki osobisty kontakt z dawnymi kolegami odszedł w nieznośnie zapomnienie. Z przykrością musiał uznać słuszność dziadkowych uwag, że kolegów ma się tylko w pracy, a poza nią pozostaje jedynie emerycka samotność i wspomnienia minionych dawno chwil. Wielokrotnie, w gronie najbliższych swych współpracowników, a później podwładnych z „fabryki”, jak nazywali miejsce swojej służby, rozmawiali o tym, komentując postępujący w zastraszającym tempie rozpad koleżeńskich więzi w ich środowisku. Zjawisko to nabrało szczególnego tempa po przekształceniach politycznych, jakie nastąpiły w 1990 roku, kiedy dawną Milicję Obywatelską zastąpiła Policja, a bardzo wielu starych stażem

funkcjonariuszy wolalo przejść na emeryturę, nie ufając nowej władzy, która wyłoniła się z kręgów doradców dawnego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Po tym fakcie często żartowali między sobą, że wykrakali sobie zmianę nazwy ich formacji, bo w milicyjnych czasach, samych siebie nazywali nieodmiennie policjantami, co nie zawsze podobało się zwierzchności. Zwłaszcza tej o politycznym charakterze. Działo się to na zasadzie jakiejś przekory, a być może ukrytej chęci przyrównania się do policjantów z tak zwanego Zachodu, których mogli oglądać w różnych, z reguły głupawych, amerykańskich i angielskich kryminałach. W każdym bądź razie do dobrego tonu należało posługiwanie się określeniem „policja”, co nadzwyczaj popularne było zwłaszcza w środowisku milicjantów z wydziałów kryminalnych. Wraz z odejściem dawnego systemu, zwanego przez przedstawicieli nowej władzy pogardliwie „komuną”, na przyspieszone emerytury z wałbrzyskiej milicji odeszła też bardzo duża grupa najbardziej doświadczonych milicyjnych wyg, a wraz z nimi w niebyt odeszły stare obyczaje i zasady, w tym kształtowane przez lata tradycje więzi zawodowych i kontakty prywatne. W okresie wielkiego politycznego przełomu odeszli zarówno ci, którzy nie potrafili przystosować się do nowych wymogów i wprowadzanych obyczajów, jak i ci, którzy z powodów politycznych odejść musieli, ponieważ nowe władze nie chciały ich widzieć w szeregach nowo utworzonej Policji. Druga fala odejść miała miejsce w kilka lat później, kiedy nowi politycy zaproponowali policjantom zmienione i gorsze warunki emerytalne. Wtedy to kolejna, również wielka grupa, zrażona złamaniem wcześniejszych deklaracji i policyjnej ustawy, zdecydowała się na złożenie raportów o zwolnienie ze służby. Wśród tej grupy, wraz z kilkoma innymi kolegami, znalazł się również Dziadek, który wolał otrzymać to, co mu dotychczasowe przepisy gwarantowały, niż uwierzyć w stabilność praw emerytalnych, jakie im władza szykowała. Zmiany, jakie wówczas nastąpiły, spowodowały powstanie luki pokoleniowej pomiędzy starymi, a nowymi policjantami, co bardzo szybko skutkowało tym, że w tej nowej formacji przestały liczyć się osobiste przymioty, zasługi, doświadczenie i zaangażowanie w służbie. To nie tego wymagali nowi przełożeni w centrali i nie o tym chcieli rozmawiać pojawiający się w coraz większej ilości ludzie, których jedynym, ale najbardziej liczącym się atutem, był fakt kombatanczej, solidarnościowej przeszłości ich rodziców, a także wysokość zajmowanych aktualnie stanowisk w nowo powstałym aparacie władzy. Zamiast pasjonatów, z jakimi w pionie kryminalnym od lat obcował, w policyjnych szeregach pojawili się nagle ludzie, którzy służbę traktowali jak pracę, w taki sam sposób, jak każdy urzędnik administracji państwowej traktował swoje służbowe obowiązki. Dla nich praca zaczynała się niezmiennie o siódmej trzydzięci i również niezmiennie kończyła się zawsze po upływie równych ośmiu godzinach, po których, byli już tylko i wyłącznie zwykłymi obywatelami, albowiem swą „policyjność”, tak jak swoje mundury, pozostawiali na wieszakach w służbowych szafach. Do służby trafiali ludzie, którzy nigdy nie powinni nałożyć policyjnego munduru i nigdy by tego nie uczynili, gdyby nie fakt, że wstępując do Policji zapewniali sobie, tak ważne w czasach gospodarczej zapaści, bezpieczeństwo socjalne.

Szli do tej formacji, bo przecież Policja, jako instytucja, nie mogła zbankrutować, pozostawiając ludzi bez środków do życia, tak jak to zdarzało się nagminnie w przypadku tysięcy innych miejsc pracy w kraju. Konkurencja była spora toteż w jej szeregi przyjmowano w zasadzie tych, którzy mieli odpowiednie poparcie ze strony mniej lub bardziej prominentnych protektorów. I szybko dało się zauważyć, zwłaszcza tym z poprzedniej formacji, jak etos funkcjonariusza zaczął niebezpiecznie dołować. Tę nową rzeczywistość, na własny użytek, nazywał czasem protegowanych popaprańców i wszelkimi sposobami starał się, aby do jego wydziału tych nowych przedostało się jak najmniej, co w zasadzie udało mu się osiągnąć, aczkolwiek nie bez drobnych problemów. Jednakże jego największe zdumienie i sprzeciw budziły nowe zasady naboru kandydatów na policjantów, które już nie wykluczały możliwości przyjęcia do służby osób, których krewni, a nawet członkowie najbliższej rodziny, mieli mniej lub bardziej poważne konflikty z prawem. Na efekty tak przeprowadzanego naboru długo nie trzeba było oczekiwać, bo bardzo szybko pojawił się, praktycznie nieznanym w jego milicyjnych czasach, problem tak zwanych „kretów”, czyli policjantów wysługujących się różnym przestępczym strukturom.

Najbardziej raziło go, że każdorazowe czynności przekraczające ustawowy czas pracy, skutkowały natychmiastowym żądaniem przyznania odpowiedniego czasu wolnego, który równoważyć miał przepracowane nadgodziny. Sytuacja ta doprowadzała nieraz do kuriozalnych przypadków, kiedy niektórzy jego podwładni, w czasach gdy już samodzielnie kierował wydziałem kryminalnym, dysponowali kilkoma setkami tzw. nadgodzin, które trzeba było im oddać. To z kolei wywołało ataki złości komendanta, któremu również trudno było pogodzić się z tymi nowinkami niesionymi przez nowe czasy. Bo w starych czasach, uznanych za warte zapomnienia, pracujący w wydziale milicjanci uganiaли się w terenie od rana do późnej nocy i następnie z samego rana karnie meldowali się na swoich stanowiskach, a myśl o jakichś nadgodzinach nawet nikomu do głowy nie przychodziła, bo była to służba, a nie praca urzędnika na etacie, wykonywana za biurkiem.

Te nowe czasy przyniosły też zmiany w funkcjonowaniu wydziału, spowodowane nowymi obyczajami, jakie pojawiły się w komendzie wraz z tymi nowymi ludźmi. W miejsce dawnego współdziałania, wymiany informacji i doświadczeń, coraz częściej zaczęły pojawiać się zachowania egoistyczne, których podstawowym celem było uzyskanie jedynie osobistego sukcesu, co najbardziej jaskrawo przejawiało się w zaniku przepływu informacji w bezpośrednich kontaktach pomiędzy poszczególnymi osobami, sekcjami, a nawet wydziałami. Każdy zaczął strzec swoich „zdobyczy”, zdając sobie sprawę, że może za to uzyskać konkretną nagrodę w postaci premii pieniężnych, a właśnie pieniądze zaczęły wtedy odgrywać najważniejszą rolę i zasada współdziałania szybko zaczęła zmieniać się w zasadę bezwzględnej konkurencji. Czasy nastały nowe, nowych ludzi było coraz więcej, ale zbrodnie, tak jak w latach komuny, popełniano tak samo. Z tą różnicą, że w wolnym i demokratycznym państwie były one coraz to brutalniejsze, a świat przestępczy, coraz mniej bał się swoich

naturalnych wrogów, jakimi od zawsze byli policjanci. I mało tego, że się coraz mniej bał, to na dodatek rozpoczął, z coraz większą bezczelnością, infiltrowanie policyjnych szeregów, by łapać na lep łatwych pieniędzy, ładnych i równie łatwych panienek, czy dobrych samochodów, tych, którzy trafili do policji z typowo komercyjnymi powodów i tak naprawdę słabo się z nią identyfikowali. Tę nową rzeczywistość, na własny użytek, nazywał czasem protegowanych popaprańców i wszelkimi sposobami starał się, aby do jego wydziału tych nowych przedostało się jak najmniej, co w zasadzie udało mu się osiągnąć, aczkolwiek nie bez drobnych problemów.

Miał szczęście, że po reorganizacji naczelnikiem wydziału został Henryk Rusiński, zwany Tuptusiem, który służbę w milicyjnych szeregach rozpoczął w końcówce lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, tak więc nie miał żadnych problemów z przekonaniem go, aby do wydziału ściągać ludzi, którzy służbę rozpoczęli jeszcze w tamtych „niesłusznych” czasach. I właśnie na bazie takich współpracowników stosunkowo szybko stworzyli zgraną grupę składającą się byłych milicjantów, kilku zweryfikowanych byłych funkcjonariuszy dawnej Służby Bezpieczeństwa, którym udało się zgrać z tymi „starymi” z milicyjnym rodowodem, mimo wcześniejszych licznych animozji, jakie te dwie formacje wówczas dzieliły. Przybyło też trzech całkiem nowych, prosto „z cywila”, ale charakter pracy bardzo szybko dokonał ich weryfikacji i po stosunkowo krótkim czasie dwóch z nich złożyło raporty o zwolnienie. Akurat w tym przypadku były to osoby, które nadzwyczaj dobrze w wydziale zostały przyjęte i rokowały na przyszłość. Jednakże psychika nie wytrzymała obciążeń związanych ze szczególnym charakterem służby, a zwłaszcza ciągłego kontaktu z najbrudniejszymi zakamarkami ludzkiej natury, agresją obcego dla nich środowiska przestępczego, ludzkim nieszczęściem, krwią i licznymi trupami, co dla starych wyg z wydziału było chlebem powszednim.

Po odejściu na emeryturę, w miarę szybko oswoił się z nową dla siebie sytuacją i nie zawracał sobie głowy rozpamiętywaniem starych, jak to się mawiało, dobrych czasów, tak jak czyniło to wielu znanych mu emerytów. Swoje kontakty ograniczył do spotkań z bardzo wąską grupą ludzi, z którymi przepracował ostatnie lata i z którymi był najbardziej związany zawodowo i towarzysko. Nie podejmował też żadnej dodatkowej pracy, bo prawdę mówiąc, nie wyobrażał sobie, aby za marne 700-800 zł, bo tyle mniej więcej dorabiali sobie znani mu policyjni emeryci, ktoś miał prawo czegoś od niego żądać, lub coś mu nakazać. Powtarzał bardzo często, że on już dla ojczyzny się napracował, a swojej emerytury za piękne oczy nie otrzymał.

Prawdę mówiąc, po tylu latach policyjnej harówki, nie wyobrażał siebie w jakimkolwiek innym zawodowym charakterze, co powodowało, że żadna inna praca już mu nie odpowiadała. Z wyraźnym politowaniem spoglądał na tych, którzy nie bacząc na dotychczasową pozycję, posiadane stopnie, w tym również oficerskie, przyjmowali propozycje byle jakiej pracy, na byle jakich warunkach i za byle jakie wynagrodzenie. I w pracy tej byli również byle jako traktowani. Zresztą na jakąkolwiek interesującą go pracę i lepsze zarobki nie mógł absolutnie liczyć, ponieważ mimo solidnego prawniczego wykształcenia

i bogatego doświadczenia życiowego i zawodowego, pracy dla takich jak on, w Wałbrzychu i okolicach, po prostu nie było. Zresztą też niespecjalnie o jakąś pracę zabiegał, bo jego emerytura wystarczała mu na miarę spokojne i dostatnie życie, jednakże bez żadnych wydumanych potrzeb i ekstrawagancji. Dlatego też na częste pytania spotykanych na mieście znajomych, co teraz porabia, odpowiadał z uśmiechem, że nareszcie robi to, na co zawsze miał ochotę, czyli nie robi nic i właśnie to robi.

Pewnego dnia, dwa lub trzy lata pod odejściu na emeryturę, jeden z jego dawnych znajomych, pracujący na eksponowanym stanowisku w wałbrzyskim Ratuszu zaproponował mu pracę w jednym z ważniejszych wydziałów, gdzie potrzebowali osoby o jego wykształceniu i doświadczeniu. Ponieważ sama myśl, że oto ktoś mógłby nim kierować, wydawać polecenia i rozliczać z efektów pracy, wywoływała w nim zimny dreszcz zniesmaczenia, zapytał, ile mógłby na takim stanowisku zarobić.

- A ile byś chciał? – zamiast odpowiedzi padło pytanie.

- No, myślę, że poniżej pięciu tysięcy, to nie mamy o czym rozmawiać.

- Fakt, nie było propozycji – skwitował ów znajomy, a następnie rozpowiedział, że Drożdżowi chyba odbiło, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, że była to kwota zaporowa, aby nikt ze znajomych już mu żadnych propozycji pracy nie składał. Chociaż oczywiście, gdyby mu ktoś taką pensję zaproponował, to chyba by się na pewno mocno zastanawiał.

Rozmyślając o tym wszystkim, szedł bezwiednie w stronę wałbrzyskiego Rynku i nagle uświadomił sobie, że Bank Zachodni jest zupełnie w innym miejscu, ponieważ nagle spostrzegł, że znajduje się na Konopnickiej, a miał iść na Chrobrego. Zastanawiał się przez chwilę czy ma się wrócić, czy też wykorzystując okazję odwiedzić swojego starego znajomego, Jurka Pławskiego, który na milicyjną emeryturę odszedł w połowie lat osiemdziesiątych. Z tego, co pamiętał, powodem jego odejścia były pewne perturbacje ze Służbą Bezpieczeństwa w tle, która miała do niego jakieś – jak się później okazało – wydumane obiekcje. Obecnie prowadził wziętą w mieście kancelarię prawniczą, mieszczącą się w wynajętych pomieszczeniach biurowych przy ul. Nowy Świat, czyli o przysłowiowy rzut beretem od miejsca, w jakim się aktualnie znajdował. Szybko zdecydował się na odwiedzinę Pławskiego, przysięgając sobie w duchu, że po ich zakończeniu uda się do banku, a następnie pozalátwia pozostałe sprawy.

W kancelarii, a właściwie w pokoju gościnnym, poza Pławskim, przebywało jeszcze dwóch mężczyzn, z których jednym był Marek Kowalczyk, właściciel mieszczącego się na tym samym piętrze biura pośrednictwa obrotu nieruchomościami. Z uwagi na swoją działalność zawodową, zarówno Pławski, jak i Kowalczyk byli powszechnie znani i utrzymywali stosunkowo bliskie kontakty z wieloma, bardziej lub mniej ważnymi, ale zawsze liczącymi się w Wałbrzychu ludźmi. Trzeci, wysoki i postawny mężczyzna, wydawał mu się od pierwszej chwili znajomym, ale nie był w stanie przypomnieć sobie kim jest i skąd mógłby go znać.

- Cholera, ale podobny do Gowina – przypomniał sobie twarz coraz bardziej

znanego polityka z Platformy Obywatelskiej, którego wręcz nie znosił z uwagi na jego demonstracyjne wręcz przywiązanie do Kościoła i publiczne, często mocno nachalne, głoszenie o wyższości moralności katolickiej nad wszelką inną ideologią.

Cała trójka siedziała w wygodnych i miękkich fotelach ustawionych przy okrągłym niskim stoliku, tuż przy szerokiej kanapce, nadającej pomieszczeniu bardziej domowy, niż biurowy charakter. Rzut oka na stolik pozwolił mu na szybkie zorientowanie się, że stojące na nim filiżanki, pozorują jedynie leniwe popijanie przedpołudniowej kawy, ponieważ zza jednej z krawędzi kanapy nonszalancko wystawała butelka markowego koniaku, jaki Pławski lubił spożywać w lepszym towarzystwie. Ponadto w pomieszczeniu unosił się specyficzny i łatwo rozpoznawalny zapach alkoholu, co niewątpliwie sygnalizowało, że niejedna już filiżanka trunku została tu opróżniona.

Nieźle trafiłem – pomyślał zadowolony z rysującej się perspektywy ciekawego spotkania towarzyskiego, z którego niechybnie wyniesie, jak z miejsca założył, sporo towarzyskich i politycznych ploteczek, związanych z problemami nurtującymi środowisko miejscowego establishmentu.

Po przywitaniu się z obecnymi, z głośnym sapnięciem pozorującym westchnienie ulgi, przysiadł się na kanapce, dyskretnie obserwując nie znanego mu uczestnika spotkania, starając się przypomnieć, czy spotkali się już kiedyś, czy też nie. Szybko też zorientował się, że i on obiektem wzajemnego zainteresowania.

- Chyba jednak kiedyś musieliśmy się spotkać – przeleciało mu przez myśl, ale nic konkretnego nie mógł sobie przypomnieć. Postanowił więc pozostawić sprawę do samoistnego rozstrzygnięcia.

- Widzę, że sobie panowie pozwalają na relaksik taki mały – zażartował uśmiechając się porozumiewawczo do obecnych.

- Ano świętujemy świetny kontrakt Marka, na którym i ja chyba trochę grosza przytulę. To znaczy, sorry, zarobię – szybko poprawił się Pławski, który rozmawiając z nim, lubił popisać się jakimś wyrażeniem, w jego mniemaniu wskazującym na biegłą znajomość języka ulicy, lub czymś, co za taki język uznawał. Mówiąc to, wskazał na siedzącego obok Marka Kowalczyka i z wyraźnym zadowoleniem sięgnął po stojącą za oparciem butelkę, aby po chwili, ostrożnie nalać do filiżanek po niewielkiej porcji brunatnego płynu.

- Napijesz się? – spytał, unosząc w jego stronę, wymownym ruchem, butelkę, w której pozostawała już niewielka ilość trunku.

- No, nie będę sobie odbierał niewątpliwej przyjemności, aby napić się w tak znamienitym gronie – uśmiechnął się szeroko, mrugając porozumiewawczo do Kowalczyka – poza tym oddałem gruchota do warsztatu i do jutra mam go z głowy.

Celowo wspomniał, że swego dwunastoletniego Forda Oriona oddał do warsztatu, aby podkreślić, że jeżeli chodzi o spożycie pewnej ilości alkoholu, to nic go w tej mierze nie krepuje. Ale uwaga ta przeszła bez widocznego zainteresowania obecnych, czemu się nawet nie zdziwił, bo wiedział, iż oni jeżdżą znacznie lepszymi, niż jego Ford, samochodami.

Siedzący obok Kowalczyka mężczyzna pochylił się w jego stronę z wyciągniętą dłonią.

- Pan pozwoli, że się przedstawię, bo jakoś nikt do tej pory nie wpadł, aby to zrobić. Libara jestem, Andrzej Libara – poprawił się przyglądając mu się uważnie, jakby miał zamiar coś mu swym zachowaniem zakomunikować.

- Zygmunt Drożdż, miło mi – mocno uściśnął wyciągnięto do niego dłoń.

Mężczyzna w dalszym ciągu, w sposób nieco irytujący, spoglądał mu prosto w oczy, gdy on w tym czasie rozpaczliwie starał sobie przypomnieć, dlaczego jego twarz wydaje mu się tak znajoma. Nurtujące go wątpliwości szybko zostały rozwiane przez samego Libarę który widać uznał, że Drożdż go jednak nie rozpozna i nie ma po co dalej tę sytuację przedłużać.

- Pan zdaje się mnie nie pamięta, ale ja dobrze pana sobie przypominam. To znaczy, ja pana pamiętam, bo kiedyś byłem u pana w komendzie – poprawił się.

- Taak? Przepraszam, ale wie pan, człowiek tylu ludzi w życiu spotkał, że po kilku latach ma z rozpoznaniem niektórych dosyć duże problemy – mówiąc to spoglądał na swego rozmówcę z zaciekawieniem i lekką irytacją wywołaną tym, iż w dalszym ciągu nie mógł sobie skojarzyć tej twarzy, a zawsze był przekonany, że co, jak co, ale pamięć, nie tylko wzrokową, ma doskonałą.

- Może mi się pan trochę przypomni jakoś – poprosił.

- Ja, proszę pana, byłem kiedyś u pana w sprawie takiej, że mi regularnie kradli radia z samochodu i ja pana prosiłem o pomoc w tym względzie.

- Wie pan, że coś mi się kołacze po głowie, ale nie mogę sobie szczegółów przypomnieć – skłamał taktycznie – I co, pomogłem jakoś?

- To pan nie pamięta jednak – Libara skrzywił się lekko – ja wtedy proponowałem panu, że na własny koszt zakupię takie kamery do monitoringu mojej ulicy na Podzamczu, bo tam mieszkalem wtedy, aby dać wam możliwość złapania złodziei.

Po tych słowach nagle wszystko stało się jasne. Siedzącego obok faceta poznał w czasie, kiedy w wałbrzyskim „Polmozbycie”, w stacji obsługi klienta pracowała jego pierwsza, nie żyjąca już od kilku lat żona, a której Libara był kierownikiem. Kiedyś faktycznie odwiedził go w komendzie, aby złożyć mu propozycję pomocy w ujęciu bandy wyrostków, która na największym wałbrzyskim osiedlu mieszkaniowym Podzamcze, grasowała przez jakiś czas bezkarnie, włamując się do parkowanych na ulicach samochodów i kradnąc z nich radia, oraz wszystko to, co szybko ukraść się dało. Spoglądając na niego, zastanawiał się, jak to się stało, że nie rozpoznał znanego przecież w Wałbrzychu biznesmena.

- A, przepraszam, teraz sobie przypominam. Pański ojciec był milicjantem, jak dobrze pamiętam, tak?

- No, teraz to wierzę, że pan sobie mnie przypomniał – Libara uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Andrzej, dlaczego od razu się nie przypomniałeś? Pamiętam przecież, że kiedyś przeszliśmy na ty. Dobrze pamiętam – podkreślił to dosyć mocno, uśmiechając się do niego.

- A co miałem zrobić. Widzę, wchodzi znajomy i udaje, że mnie nie zna, to milczę. Myślałem, że ty tak specjalnie, że ci nie wypada się przyznawać do znajomości ze mną – Libara ponownie przenikliwie spojrzął na niego, tak jakby chciał się utwierdzić, że początkowe jego zachowanie, było faktycznie efektem jedynie luki w pamięci.

- Pamiętasz, że miałem kiedyś problemy z bezpieczeństwem o ta elektronikę, co sprzedawałem w Sojuszu. Myślałem, że dlatego – zaśmiał się niespodziewanie.

- Chyba sobie żarty stroisz, bo wiesz przecież doskonale, że ja w kryminalnym, a nie w bezpieczeństwie robiłem. Po prostu, po tylu latach, wyleciało mi z głowy. Starość nie radość – żartobliwie skwitował, będąc zły na siebie, że Libary nie poznał, a powinien.

- No, to się wyjaśniło, możemy się spokojnie napić, bo widać, że sami swoi – odezwał się, jakby uspokojony Pławski, który przez jakiś czas spoglądał na nich z podejrzliwym zdziwieniem.

- Mam nadzieję, że nie chowasz do mnie jakiejś urazy za tamtą odmowę? - Drożdź powrócił do spotkania sprzed laty, odczuwając nagłą potrzebę wytłumaczenia się z ówczesnego braku zainteresowania złożonymi niegdyś przez Libarę propozycjami.

- Pamiętasz chyba, że wtedy to komendant nie wyraził zgody, bo bał się tego twojego sponsoringu. Wtedy była taka publiczna nagonka na sponsorowanie policji, bo to było zraz po tej aferze z komendantem głównym, tym z Poznania. Wielka afera, z której później wyszło wielkie gówno i okazało się, że nawet ta pralka, co to niby dostał za friko, była jego, tyle tylko, że mu ją radiowozem do domu przywieźli – przypomniał, głośną swego czasu, pseudoafere, jaką rozpętali dziennikarze „Gazety Wyborczej”, uważanej wtedy za wyrocznie, kształtującą tak zwaną opinię publiczną, bardzo podatną na wszelkie polityczne bzdury.

- Pamiętam sprawę – wtrącił się Pławski – wielki szum i faktycznie wielkie gówno z tego wyszło, tyle tylko, że chłopca uwalili i pognali do cywila. A był to naprawdę dobry komendant. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Ale chyba komuś wtedy był bardzo niewygodny.

- A ty, słyszałem, też w cywilu – zwrócił się do niego Libara, nie podejmując tematu afery z pralką – to ile ty lat przepracowałeś w tym burdelu?

- No sporo, ćwierć wieku ponad, ale nie ma o czym mówić – odpowiedział mu bez entuzjazmu, dając do zrozumienia, że na ten temat nie chce mu się specjalnie rozmawiać.

- Dlaczego? Pamiętam, że poza pracą prawie niczego nie widziałeś – Libara był najwyraźniej bardzo zdziwiony taką jego reakcją.

- Było minęło, teraz mam co innego na głowie – starał się szybko zakończyć definitywnie temat.

Pławski dyskretnie nachylił się w stronę Libary i szepnął mu prosto do ucha:

- Słuchaj, on nie lubi o tym gadać. Myślę, że on chyba żałuje swego odejścia, ale nie chce po sobie tego pokazywać. Wiesz, wtedy był kimś, a teraz – zwiesił na chwilę głos – teraz jest tylko emerytem i byle gliniarz może mu nawrzucać ile tylko zechce. Wiesz, to jest dosyć deprymujące dla kogoś, kto przez tyle lat był ważną personą. Przecież on odpowiadał za bezpieczeństwo w całym tym byłym

województwie. A teraz co? Cywil, tak jak my i jeszcze na pewno pełno ma wrogów w byłej firmie.

- Co, doły jakieś ma z tego powodu, czy co? – drażył temat Libara.

- Nie, ale daj już temu spokój, ja wiem, bo się tak samo czułem, jak odszedłem z firmy. On zdaje się jakieś problemy miał z tym odejściem, ale to jego sprawa, więc pogadajmy o czymś innym. Będzie chciał, sam ci powie – zakończył zdecydowanie, dając tym samym wyraźny sygnał, że temat uważa definitywnie za zakończony.

W porządku, ciekawy byłem – Libara bez oporu przystał na złożoną mu propozycję.

Po krótkiej chwili, wypełnionej rozmowami o wszystkim i niczym, spojrzenia obecnych, jakby się zmówili, spoczęły na pustej już butelce, stojącej pomiędzy również pustymi filiżankami.

- No to panowie, zdaje się, że ktoś musi skoczyć na róg, bo dno już widać – Pławski podniósł butelkę do góry, co spowodowała, że wszyscy prawie jednocześnie sięgnęli do portfeli.

- Spokojnie, ja płacę, problem w tym, kto pójdzie? – zareagował Kowalczyk, widząc wymowne gesty kolegów.

- To chyba jednak twoja powinność, bo i chyba dzięki mnie – Pławski zwrócił się w kierunku Kowalczyka – tak dobry interes ubieś.

- Ok. Płacę to i pójdę – zdecydował Kowalczyk i już po chwili zniknął za drzwiami kancelarii, prowadzącymi na klatkę schodową.

Po wyjściu Kowalczyka rozmowa zeszła na temat zawartej przez niego transakcji, w której uczestniczył również Pławski, inkasując oczywiście sowitą opłatę za pomoc prawną, jakiej udzielił. Zadowolony bardzo był i Kowalczyk, którego cieszyła spora, jak na tego typu transakcję, prowizja, jaką udało mu się, przy pomocy Pławskiego, wynegocjować.

Po upływie kilkunastu minut w biurze pojawił się Kowalczyk, wywołując ogólny aplauz, czego powodem była niewątpliwie butelka tego samego markowego trunku. Wygodnie i z lekką nonszalancją rozwaleni na kanapce i w fotelach, popijali od czasu do czasu po łyeczku koniaku, tak jak to robili widziani w amerykańskich filmach, zadowoleni z siebie, ważni ludzie od ważnych spraw, przynoszących im duże pieniądze. Rozmowa przez jakiś jeszcze czas dotyczyła zawartej transakcji oraz prawnych problemów obrotu nieruchomościami, aby, jak zwykle w takich przypadkach się dzieje, zejść na bieżące wydarzenia polityczne, które prędzej czy później dominowały każdą dyskusję, zadowolonych z siebie facetów, siedzących przy kieliszku dobrego alkoholu.

Rozmawiający mężczyźni, w zasadzie, zgodni byli w swoich poglądach politycznych, ponieważ każdy z nich przeszedł w młodości taką samą ścieżkę politycznej edukacji, poczynając od harcerstwa i organizacji młodzieżowej, a na PZPR kończąc.

Różnili się jednak znacznie w aktualnej ocenie roli i sposobu działania lewicy, która tak spektakularnie przegrywała od dłuższego czasu wszelkie polityczne batalie i czyniła to, można by rzec, że na własne życzenie. On sam z Pławskim, w odróżnieniu od dwóch pozostałych, byli jakby trochę mniej krytyczni w ocenie

działań lewicy, starając się odeprzeć żale swych adwersarzy, związane z zadziwiającymi ustępstwami tej formacji i przyjęciem przez nią pozycji totalnie zastraszonego szaraka, chroniącego się nieustannie gdzieś pod miedzą, w czasie gdy psy myśliwskie namiętnie gryzły się między sobą. Żale swoje kierowali w stronę byłego już szefa SLD, Marka Dyducha, który jeszcze nie tak dawno był ich kolegą i mieszkańcem Wałbrzycha.

Wrześniowe wybory parlamentarne lewica – w ich ocenie – przerznęła koncertowo, Dyduch nie dostał się do senatu, co było do przewidzenia od czasu, gdy 29 maja 2005 złożył dymisję z funkcji sekretarza generalnego. Lewica straciła tak wiele na znaczeniu, że przegrała nawet z „Samoobroną” Andrzeja Leppera, nie wiadomo dlaczego tak bardzo lekceważonego zarówno przez polityczny światek, od prawej do lewej strony, jak i w zdecydowanej większości media. Przegrana z kretesem kampania wywoływała wielkie emocje, zawiedzionych polityką partii, jej sympatyków, do których zaliczał się zarówno Drożdż, jak i pozostała trójka jego współbiesiadników.

Dyskutując o tej bulwersującej porażce, popijający koniak mężczyźni, jej przyczyn upatrywali w bojaźliwej postawie lewicowych polityków względem hałaśliwej i bezlitosnej nagonki na SLD, po tak zwanej „aferze Rywina”, jak i błędów lidera partii, który nagle zaczął pochylać się nad potrzebami gdańskiego prałata ks. Jankowskiego lub dostrzegać bohatera narodowego w osobie amerykańskiego szpiega Ryszarda Kuklińskiego. Ta ostatnia sprawa szczególnie mocno podzieliła członków i sympatyków SLD, z których zdecydowana większość widziała w nim jedynie dobrze opłacanego przez CIA zdrajcę. Dyskutujący zgodnie stwierdzili, że polska lewica zdradziła swoich wyborców, którzy tak naprawdę liczyli na to, że choć trochę tego, co w PRL-u było dobre, lewica się nie wyprze i będzie w stanie bronić. Zawiodła ich ponieważ władze SLD dały sobie narzucić lansowany przez prawicę pogląd, że lewicy wolno mniej.

Również, co do jednego, zgodni byli, że gwoździem do trumny lewicy była nieszczęsna pseudo afera z Rywinem w roli głównej, w którą SLD dał się wmanewrować na własne żądanie, pozwalając zakrzyczeć się wytrawnym propagandzistom prawicy, czującej nadchodzące wielkimi krokami zwycięstwo.

- Czy nie uważacie, że ten wyrok na Rywinie, to jedna wielka hucpa polityczna – Drożdż zwrócił się do dyskutantów z pytaniem, które wybrzmiało raczej jak twierdzenie - Od początku tej historycznej nagonki byłem przekonany, że żadnej afery nie było, a wszystko to, co się wydarzyło, było jedną wielką polityczną szopką, w wykonaniu triumfującej prawicy. Jeden wielki cyrk, zresztą taktycznie bardzo dobrze rozegrany przez to oszołomstwo – dokończył zdecydowanie, sącząc powoli resztki koniaku.

- Oczywiście, że tak. Myślę, że on z tym pójdzie do Strasburga – poparł go Kowalczyk – tylko dureń poprzestałby na polskim sądownictwie. Ono jakieś kulawe jest teraz.

- No tak, sprawę w Polsce przegrał na własne żądanie, bo zachował się i głupio i dziwnie jakoś – odezwał się Pławski, który w tym gronie uznawany był, z racji zawodu, za eksperta w sprawach proceduralnych, z czym Drożdż zgadzał się

jedynie częściowo, wiedząc, jak słabo Pławski orientuje się w aktualnej procedurze karnej, z którą praktycznie od prawie dwudziestu lat nie miał do czynienia.

- O, ja też tak uważam, ba, jestem wręcz tego pewny – zdecydowanie poparł jednak opinię Pławskiego – ale nagonka prasowa była tak sugestywna, że żaden prawnik, czy polityk, nie zwracał uwagi na fakty, bo ważne było polityczne zapotrzebowanie.

- A nie wydaje się wam, że to jest trochę jakby dziwne – odezwał się milczący dotąd Libara – dlaczego lewica pozwala publicznie obrzucać się głównem? Przecież te polityczne łowy widać było jak na dłoni, bo to raczej był publiczny lincz, w którym nie fakty były ważne, lecz pseudodowody będące faktycznie pomówieniami. Myślenie racjonalne cynicznie zastąpiono naiwną mentalnością bolszewika. Mnie szlag trafiał, jak to widziałem.

- Andrzej, bardzo mi się spodobało to, co powiedziałeś. Zastanawiam się, dlaczego tak się dzieje, że ludzie z lewicy boją się, bo widać wyraźnie, że boją się tego oszołomstwa. Widać to było szczególnie po ich zachowaniu, podczas przesłuchania przez tę, pożałujcie panie boże, komisję śmieszna. A już ten Nałęcz, to mówiąc szczerze, za każdym razem gdy go słyszałem, to mi się scyzoryk w kieszeni otwierał – Drożdź bezceremonialnie wszedł Libarze w słowo, a wypowiedziane przez niego zdania brzmiały nagromadzoną w nim emocją, wynikającą z faktu, iż jako prawnik całą tą komisję i efekty jej pracy, widział zupełnie inaczej niż większość jego bliższych i dalszych znajomych.

- A ta komisja, na pewno nie śledczą była, śmieszna raczej, a nawet tragicomiczną. Przynajmniej dla mnie – zakończył zdecydowanie.

- Tak, śmieszna była, zwłaszcza gdy Ziobro z Rokitą do głosu się dorywali. Ciarki przechodziły po plecach i raczej nie ze śmiechu – skomentował jego słowa Kowalczyk - Do tego stopnia śmieszna, że gościu poszedł siedzieć i mimo, że chory był, to go w tym pierdłu chcieli na amen ugotować. Myślę, że mu do śmiechu nie było – dokończył z wyraźnie wyczuwalnym sarkazmem.

- Ale musicie przyznać, że mimo wszystko w tym wszystkim, jakaś prawda była zawarta. Zobaczcie, co teraz PiS wyprawia i jak ludzie im wierzą – Pławski w zamyśleniu porozlewał do kieliszków ostatnią porcję koniaku - a to, dlatego, kurwa – z zniechęcią i nie wiedząc dlaczego, zaklął jakby w zdenerwowaniu – że się towarzyszo za szybko dorabiać chciało.

- Jaka prawda? Przegłosowana przez sejm? Od kiedy to prawdę ustala się w sejmowym głosowaniu na litość boską – trochę nerwowo przerwał mu Drożdź .

- No, masz rację, bo mogli się dorabiać powoli, z jakimś umiarem, a nie tak knajacko rzucić się jak pies na zgniłe gnaty – Kowalczyk nie zwracając uwagi na jego wypowiedź, skomentował słowa Pławskiego. Nie miał bowiem wątpliwości, co do tego, że to sposób bogacenia się, a nie sam fakt bogacenia, tak bardzo ludziom przeszkadza i budzi w nich niskie uczucie zazdrości. Przekonał się o tym niejednokrotnie osobiście.

- Wiesz, ja mam na to swoją własną teorię – Drożdź odezwał się po chwili

milczenia, spowodowanej wymownym gestem Pławskiego, który podniósł w ich stronę swoją filiżankę.

- Ciekawe. Tylko się Zyga nie rozwijaj za bardzo z tematem, bo zaraz musimy kończyć posiedzenie – Pławski ostentacyjnie spojrział na zegarek – zbliża się trzecia, a ja na czwartą jestem umówiony z szefową, bo ma problemy rodzinne, to znaczy, prawne. Mówiąc prawdę, to problemy ma jej siostrzeniec.

- No to co to za teoria? Gadaj, nawet w skrócie, bo jestem jej bardzo ciekaw – Kowalczyk zachęcał go do dalszego wywodu, niespodziewanie wyciągając z dyplomatki niezbyt dużą butelkę z alkoholem, zdecydowanie różniącym się od poprzedniej, pięknym zielonym kolorem zawartości.

- Becherovka – poinformował zdziwionych taką niespodzianką kolegów – kupiłem ją wczoraj w Czechach i miałem wypić w domu z żoną, ale niech tam, niech stracę.

- Będę się skracał, bo widać, że Jurek się spieszy. Chyba, że go ta flaszeczka trochę jeszcze przytrzyma – śmiejąc się, Drożdż wskazał głową na Pławskiego, który jakoś tak pośpiesznie rozpoczął rozlewanie alkoholu do kieliszków.

- Postarajcie się panowie spojrzeć na to wszystko oczami takiego komucha – użył popularnego, nadawanego przez prawicę, określenia dla wszystkich tych, którzy w jakiś sposób identyfikowali się z lewicą społeczną, kojarzoną nie wiadomo dlaczego z minionym ustrojem. - Jego świat nagle się zawalił, a on widzi i słyszy, że nawet jego wodzowie mówią nagle, że to, co było, było złe, godne napiętnowania, i że teraz trzeba inaczej, sprawiedliwiej i demokratycznie. A on przez całe życie słyszał od nich, że racja była po ich stronie, bo antydemokratyczny element to właśnie ci, co teraz są demokratyczną nadzieją narodu. I widzi, że ci, których jeszcze nie tak dawno gnoił, teraz są przy władzy i za chwilę zaczną gnoić jego, bo jego władza już się kompletnie rozleciała i znikła ze sceny z wielkim hukiem.

- Ja tam tego wielkiego huku nie słyszałem, raczej to wszystko po cichu się odbywało – zaśmiał się Pławski – gdzieś tam w Magdalence, przy koniaczku. Tak samo, jak my tu teraz deliberujemy.

- To uważasz, że okrągły stół to tylko taka zasłona dymna – zapytał z lekkim zdziwieniem Kowalczyk – to się bracie wpisujesz w te pisowskie gówno. No, o to cię raczej nie podejrzewałem.

- Coś w tych ich tłumaczeniach musi być na rzeczy – Pławski nie dawał za wygraną - przypomnij sobie, jak wszystko szybciotko padło i zostało rozkradzione. Gdzie to teraz, kurwa, jest? Ja z tego nic nie miałem. Ty miałeś? - rzucił w stronę Kowalczyk raczej retoryczne pytanie.

- Dajcie mi skończyć, bo zachowujecie się jak działacze Platformy i PiS przed telewizyjnymi kamerami – Drożdż wtrącił się w tą wymianę zdań, a Pławski, rezygnując z dalszej dyskusji, zajął się rozlaniem do filiżanek kolejnej niewielkiej porcji alkoholu. Widząc względny spokój, jaki zapanował w towarzystwie, powrócił do przerwanego mu nagle wywodu.

- Jednak, jak sami wiecie, ten zaskoczony nagłą zmianą ustroju aktywista, to był z reguły człowiek wykształcony i obyty w różnego rodzaju działaniach i gierkach, czy to politycznych, czy też gospodarczych. Posiadał pewne zdolności

organizacyjne, wiedział jak wygląda sytuacja i widział, jak ci nowi zdobywcy szarpią ten słoik z miodem, który to no przecież do tej pory miał w ręku i napełniał go. Z trudem, ale jakoś napełniał.

- Fajnie to ująłeś – przerwał mu uśmiechnięty Pławski – rzeczywiście, on ten słoik napełniał, ale przy tym napełnianiu, jak sobie palce usmarował, to je z przyjemnością oblizywał. Wiem coś na ten temat.

- A oblizywał. Każdy i wszędzie oblizuje, jak ma okazję. Ale co innego jest oblizywanie, a co innego zachachmęcić cały słoik dla siebie i koleś – Kowalczyk nie wytrzymał i włączył się w nagłą wymianę zdań.

- Panowie, powoli ... dajcie skończyć – Drożdż nie dawał za wygraną, chcąc swój wywód doprowadzić do końca.

- Wiecie dobrze, że pieniądze to klucz do wielu zamków, a duże pieniądze to wytrych otwierający każdy zamek. Duże pieniądze, to duża władza i ten odrzucony nagle komuch, zdaje sobie sprawę, że istnieje możliwość, aby i on w dalszym ciągu mógł się liczyć, by go nikt nie śmiał gnoić, czego tak się obawiał. Szybko zauważył, że prawo jest za słabe, aby komukolwiek, poza maluczkimi, zagrażało. Najważniejsze organa państwowe zarządzane są przez dyletantów, a cwaniacy z nowego układu rzucają się, jak pies na kość, na to, co on przez tyle lat budował. I widzi dokładnie, że gdy ci, pożałuj boże, obrońcy klasy robotniczej zwyciężyli, to tę całą klasę umieścili sobie w dupie i zaczęli chapać większe i mniejsze kęsy tego, z czego ta nieszczęsna, a w sumie durna, klasa robotnicza żyła. On nie jest głupi, wie, co robić, a w dupie ma również i tę klasę robotniczą i tych nowych władców Polski. Zaczyna rozumieć, że teraz jest czas wolnej amerykanki i kto szybszy ten lepszy. Nie widzi więc żadnego powodu, aby swoje umiejętności nie wykorzystać dla swoich interesów, dla zabezpieczenia swojej przyszłości i bezpieczeństwa. Bo wie, że ci, co rządzą i kradną, tych, co kradną gdzieś na boku, też nie dadzą ruszyć. I tak to się zaczęło i trwa do dnia dzisiejszego.

- Tiaaa, ciekawa teoryjka – odezwał się milczący dotąd Libara – ciekawa. Czy to oznacza, że i mnie do tej grupy zaliczasz?

- Przecież ty nie byłeś w partii? A może byłeś, tylko nic na ten temat nie wiem? Fakt, w tej nowej Polsce zdążyłeś, z tego co słyszałem, stworzyć jakiś zgrabny mająteczek – wyrwało mu się niepotrzebnie i raczej na wyrost, bo tylko z wyglądu mógł ocenić stopień zamożności dawnego znajomego. A widać było, że do biednych nie należy.

- Dobra, dobra, panowie nie zawracajmy sobie dupy, kto, co, kiedy i dlaczego – wtrącił się Pławski, zażegnując być może nawet jakąś ostrą wymianę zdań, bo widać było, że wypowiedziane słowa mocno poruszyły i chyba nawet zirytowały Libarę.

- Wiesz co, ja myślę trochę podobnie. Może nie do końca tak samo, ale bardzo podobnie – odezwał się Kowalczyk, jakby nie zważając na uwagę Pławskiego.

- To nie teoryjka, tylko moja teoria, chociaż w dużym bardzo skrócie – nie reagując na wsparcie Kowalczyka, poprawił Libarę, jakby trochę urażony, tym lekceważącym zdrobnieniem.

Wielokrotnie wdawał się w rozważania, dlaczego stało się tak, jak się stało, że

z wielkich planów odnowy moralnej i politycznej wyszło jedno wielkie nic. Zastanawiał się, dlaczego miliony ludzi dało się ogłupić kilku facecikom, niekiedy nawet śmiesznym nieco i naiwnym, którzy bardzo szybko stali się nowymi, ale już faktycznymi właścicielami tego, co oni przez dziesięciolecia za marne wynagrodzenie tworzyli. To, co teraz wygłosił było wielkim skrótem jego wielokrotnych rozważań i dyskusji na ten temat, w tym momencie świadomie strywializowanych dla potrzeb lepszego zrozumienia jego głównej myśli, jaką chciał w miarę szybko przekazać swoim słuchaczom.

- Ok, ok – Libara uśmiechnął się szeroko, jakby chcąc ratować miłą dotąd atmosferę spotkania, zagrożoną tym krótkim spięciem – tak mi się tylko powiedziało. Ale faktycznie, ciekawie to ująłeś.

- Ja też myślę, że masz wiele racji – wtrącił się Karolczak – ale pewne sprawy można by przedyskutować. Dobra, dobra – zareagował na jego widoczną reakcję – wiem, że celowo bardzo to wszystko uprościłeś, ale Zresztą nie ma o czym mówić, Jurkowi się spieszy – zakończył ledwo rozpoczęty wywód, widząc wymowne znaki Pławskiego, pokazującego mu zegarek.

- Ok, panowie, kończmy już, bo ja muszę lecieć na to spotkanie – Pławski ponownie wymownie spojrzał na zegarek – a w wracając do Rywina, to ja właśnie w podobnej sprawie, bo kuzyn mojej pryncypałki siedzi za coś, czego nie dokonał. Z tego, co wiem, to on i jego kolega zostali skazani bez żadnych dowodów.

- Za co ich posadzili? – raczej z grzeczności, niż faktycznej ciekawości zainteresował się Libara.

- Uznano, że z tym kolegą zabił właściciela antykwariatu. Zyga, ty powinienes coś na ten temat wiedzieć, bo to było bardzo głośne zabójstwo.

- Jureczku, ty wiesz ile tu było głośnych zabójstw i zawsze sprawca mówił, że jest niewinny – uśmiechnął się, lekko wykrzywając usta.

- Chodzi o zabójstwo Władka Wiśniewskiego. Znaliście go chyba? – Pławski zwrócił się do pozostałych wiedząc, że Wiśniewski był osobą raczej powszechnie znaną w niektórych kręgach związanych z drobnym biznesem.

- Ja go znałem bardzo dobrze, sknerusa jednego – Kowalczyk skrzywił się na wspomnienie jednej z burzliwych rozmów, jaka miała miejsce na krótko przed zabójstwem – byłem nawet przesłuchiwany przez policję.

- A, to o tą sprawę chodzi – ożywił się Drożdż - Ja ją znam bardzo dobrze, bo przez prawie półtora roku zajmowałem się nią osobiście. I powiem wam, że faktycznie według mojej wiedzy, ci faceci są niewinni.

- Jak to? Posadziłeś gości, a teraz mówisz, że są niewinni – zapytał ze zdumieniem Kowalczyk.

Słowa kolegi nie wywołały żadnej jego reakcji, ponieważ zdawał sobie sprawę, że Kowalczyk na temat tego zabójstwa zapewne wiedział niewiele i stąd zapewne jego zdziwienie było autentyczne.

- Nikogo nie zamykałem. Musicie wiedzieć, że ja sprawę dostałem już w momencie, kiedy ona była na wokandzie i miałem jedynie ustalić trzeciego sprawcę, co się tutejszym fachowcom nie udało – słowo, fachowcy, podkreślił z wyraźną i nieukrywaną złośliwą ironią.

- I im bardziej się w nią wgłębiałem, tym bardziej nabierałem przekonania o tym, że sprawcy zostali wydrukowani – dokończył poprzednią myśl.

- Co? Jak to, wydrukowani? – zapytał się lekko zdziwiony Libara.

- A, to taki policyjny żargon – wyjaśnił fachowo Pławski – to oznacza, że policja wytworzyła dowody na niewinnego człowieka.

- E tam, nie chcecie mi chyba wmówić, że to tu nas w Wałbrzychu było możliwe, że takie rzeczy się działy? - zdziwienie Libary była autentyczne - Widziałem to na amerykańskich filmach, ale u nas? Kto by miał w tym interes? No i sąd chyba by się kapnął, że coś nie gra. A obrońcy? Chyba mieli adwokatów? – zarzucił go pytaniami, wyrażającymi jego wielką niewiarę w możliwość, by w wymiarze sprawiedliwości takie drukowane sprawy mogły przejść bez zauważenia.

- Gadasz – przyszedł mu w sukurs Pławski – A sprawa Rywina to co? Też bez dowodów, a na oczach całej Polski skazali. Nikomu nic nie dał, bo nie miał, nic nie załatwił, bo nie mógł, a nawet nie wiadomo, kto mu to kazał, a w pierdłu wyładował. Już zapomniałeś, o czym przed chwilą gadaliśmy?

- Andrzej, to proste, oni zostali skazani na podstawie zeznań jednej osoby, która niczego nie widziała – Drożdż starał się w najprostszy sposób wytłumaczyć, co się według jego rozeznania w sprawie tej stało - Po prostu, z powodów, których się domyślam, a o których w zasadzie mówić mi nie wolno, naopowiadał bzdur, których nikt nigdy nie zweryfikował.

- Dlaczego? Dlaczego nikt nie weryfikował zeznań jedyne go świadka? To chyba normalka w waszym zawodzie? – Libara wyraźnie wykazywał wzrost zainteresowania tą kryminalną historią.

- Dlaczego? Tego też się mogą tylko domyślać. Taki był interes, aby szybko odnieść znaczny sukces, którego potrzebował nowy komendant.

- Co ty? Chcesz powiedzieć, że Bolek kazał oskarżyć niewinnych ludzi? – tym razem zdziwiony bardzo był Kowalczyk.

- Bolek nic im nie kazał. On po prostu powiedział, że sprawcy muszą się znaleźć, bo jak się szybko nie znajdą, to im nogi z dupy powyrywa. No to się sprawcy znaleźli, bo musieli się znaleźć, niezależnie od tego, czy to zrobili, czy nie. Ci, którzy ich znaleźli wiedzieli, że od tego zależeć mogą ich losy zawodowe, czyli wszystko – mówił to z wyraźnym ociąganiem, zdając sobie sprawę, że to co tu teraz opowiada, może jakimś echem odbić się w gabinecie Bolka Maja, komendanta miejskiego policji w Wałbrzychu, którego uważał za wyjątkowo mściwego prostaka, zdolnego do wyrządzenia każdego świństwa. Zwłaszcza w sytuacji, gdy jego pozycja, bądź jakieś interesy, mogłyby być, w jego mniemaniu, zagrożone.

Pławski, który przez dłuższy czas nie wtrącał się do rozmowy i wyraźnie nad czymś intensywnie myślał, zwrócił się nagle do niego z zaskakującą dla propozycją.

- Zygmunt, a miałbyś czas, aby pójść ze mną na to spotkanie? Może byś coś tej kobiecie doradził. Wiesz, bardzo mi zależy na tym, bo ja prowadzę prawną obsługę jej firmy i naprawdę chcę jej pomóc. Widzę, jak kobieta się gryzie i wiem ile kasy wywalila na obronę. Adwokata znasz, to Boguś Bardach.

- Znam go, poprzez Wojtka Konwicza. Czy chcesz mi powiedzieć, że wspólnik

Wojtka nie dał rady tak słabiutkim dowodom? - wyraził autentyczne zdziwienie
- Aż mi się nie chce wierzyć.

Był wyraźnie zaskoczony, bo wiedział, że Bardach był jednym z lepszych w Wałbrzychu adwokatów, nie sądził więc, że mając tak słabiutkie dowody przedstawione przez prokuraturę, nie był w stanie to oskarżenia roznieść w puch. Przecież o totalnej porażce prokuratury przekonani byli w większości prawie wszyscy miejscowi policjanci, którzy przynajmniej chociaż trochę orientowali się w najistotniejszych szczegółach prowadzonego śledztwa. Sprawa była szyta tak grubymi nićmi, że nie wyobrażał sobie, aby nawet najslabszy prawnik nie dał sobie rady z oskarżeniem opartym na wyjątkowo dętym materiale, nie zawierającym praktycznie żadnych dowodów. Bo pomówienia gówniarza, uznanego za głównego i jedyne go świadka, za dowody uznać nie potrafił.

Po przejściu na emeryturę nie interesował się tematem, ale o wyroku skazującym w pierwszej instancji słyszał, co go zresztą niesamowicie zaskoczyło, a poza tym był święcie przekonany, że tkwi ona jeszcze na jakichś szczeblach odwoławczych sądowej maszyny.

- Nie bardzo wiem Jureczku, w czym mógłbym jej pomóc. Tego, co wiem, raczej mówić mi nie wolno. Mogę jej tylko powiedzieć to, co tu przed chwilą powiedziałem, że według mojej oceny oni są niewinni i to w zasadzie wszystko. Z niechęcią pomyślał o wysokim prawdopodobieństwie wplątywania się w kolejną sytuację, gdzie ktoś będzie oczekiwał od niego pomocy i osobistego zaangażowania, do czego zawsze szybko dochodziło, gdy godził się na osobiste wejście w cudze problemy. W ostatnim okresie dał się namówić do udzielenia pomocy kilku osobom, których nawet osobiście nie znał, o co zabiegało jego kilku bliskich, po tym jak skutecznie pomógł Markowi Kozłowiczowi, kiedy ten miał problemy z Temidą. Sprawy te, po krótkim czasie, tak go wciągnęły, że zanim się opamiętał, stał się kimś w rodzaju prywatnego doradcy prawnego, do którego zaczęło zgłaszać się coraz więcej osób. Zwłaszcza, gdy się wśród znajomych rozniosło, że żadnych pieniędzy nie bierze, a jego porady i działania są skuteczne. Zabierało mu to nie tylko mnóstwo czasu, ale powodowało też nadmierny wzrost wydatków związanych z licznymi wyjazdami samochodem, który miał tę wadę, że paliwo żarł jak głodna krowa trawę. Był to podwójny dla niego problem, ponieważ ostry protest zgłosiła Magda której nie przeszkadzał jego nadmierny od pewnego czasu altruizm, ale która jednocześnie nie godziła się, aby ta działalność nabierała cech samarytańskich, co godziło, według niej, w ich ekonomiczne interesy. Chcąc jakoś zapobiec wzrostowi wydatków na nie swoje sprawy, zaczął, niby żartując, nazywać swój samochód głodną krową, z cichą nadzieją, że osoby, którym pomaga właściwie zinterpretują tę wyraźną aluzję i zdobędą się przynajmniej na zwrot kosztów paliwa. Nadzieje te okazywały się za każdym razem iluzoryczne i w końcu powiedział Kozłowi, jak go żartobliwie nazywał, aby mu już więcej żadnych klientów nie podsyłał. Poradził mu też wykorzystanie Jurka Pławskiego, którego Kozioł dobrze znał. Tyle tylko, że Pławski kazał sobie słono płacić, a on to robił za darmo.

I teraz gdy usłyszał jego propozycję, od razu zapaliła mu się w głowie ostrzegawcza lampka: uważaj będą kłopoty.

Zgodził się jednak, mimo wewnętrznych znaków ostrzegawczych, na co zapewne niewątpliwy wpływ miał wypity, w niewielkiej wszakże ilości, ale jednak, alkohol, ale przede wszystkim wielka ciekawość tej sprawy.

- No to panowie, kończymy, bo naprawdę czasu mam bardzo mało, bo Marzena czeka – Pławski z wyraźnym zadowoleniem poganiał kolegów, chcąc jak najszybciej przedstawić szefowej kogoś, kto jego zdaniem, będzie mógł w jakichś sposób pomóc jej w nadaniu sprawie nowego biegu.

Po kilku minutach szli już w kierunku firmy Marzeny Mireckiej, która również znajdowała się przy ul. Nowy Świat, a więc niedaleko od biura Pławskiego. Po drodze uzgodnili, że podczas tego spotkania wysłucha tylko relacje tej kobiety i określi się, czy będzie w stanie w czymkolwiek pomóc. Mając spore doświadczenie zawodowe w prowadzeniu tego rodzaju rozmów, wymógł jednak na Pławskim, że zadba on o to, aby spotkanie nie przemieniło się w próbę jego przesłuchania. Zdawał sobie sprawę, że dla tej kobiety, mocno zaangażowanej w pomoc siostrzeńcowi, będzie kimś, kto być może udzieli informacji, do których do tej pory nie miała żadnego dostępu. Drażniły go zawsze podobne sytuacje, albowiem był, co mu niejednokrotnie zarzucano, prawniczym purystą i nie znosił, gdy tak zwani stróże prawa dopuszczali się jego świadomego łamania. Mimo swego emeryckiego statusu, w duchu czuł się nadal policjantem zobowiązanym do zachowania tajemnicy służbowej, czego absolutnie nie chciał łamać.

- Jurek, wiesz, że ja za wiele nie będę mógł powiedzieć i nie chciałbym, abyście mnie potraktowali, jak jakieś źródło informacji. Ja wierzę w ich niewinność i mogę powiedzieć dlaczego tak sądzę, ale bez żadnych prób wyciągania czegoś, czego powiedzieć nie mogę. Myślę, że to rozumiesz i jej wytłumaczysz.

- Rozumiem i nie musisz się o to martwić. Powiesz, co możesz powiedzieć, a pomożesz według swego uznania - Pławski rozumiał jego wątpliwości i wahanie, więc szczerze zapewnił go, że rozmowa będzie miała tylko takie ramy, jakie on sam wyznaczy, oraz, że przypilnuje, aby Mirecka nie starała się wymóc na nim więcej, niż on sam uzna za stosowne jej obiecać.

Z wyraźną ulgą przystał na tak określone warunki, ponieważ doskonale wiedział, iż w takich sytuacjach, zainteresowana strona, prędzej czy później, będzie w różny sposób dążyła, do wyciągnięcia najbardziej interesujących ją wiadomości. A z całkowitą pewnością zakładał z góry, że zainteresowanie to dotyczyć będzie osoby świadka anonimowego, który w tej sprawie występował i którego zeznania pogrążyły tych chłopaków. Rozmawiając na temat zbliżającego się spotkania, uświadomił sobie z zniechęceniem, że on nawet nie pamięta już, jak ten świadek się nazywał, a także, że go nigdy na oczy nie widział.

Biuro Mireckiej, właścicielki dosyć dobrze prosperującej firmy z branży handlowej, znajdowało się na pierwszym piętrze starej, ale bardzo dobrze utrzymanej kamienicy mieszczącej również biura drobnych przedsiębiorstw handlowo - usługowych.

Biura te Mirecka – jak się później dowiedział – wydzierzawiała na korzystnych dla niej warunkach, wielu wałbrzyskim kupcom i rzemieślnikom, którzy się jeszcze na rynku utrzymali. Ją samą znał jedynie ze słyszenia przez to, że jej nazwisko pojawiło się kiedyś w sprawie, z którą na początku lat 90-tych miał przez jakiś czas do czynienia. Fragmentarycznie pamiętał, że dotyczyła ona próby przejęcia, przez byłych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, kontroli nad firmą, w której później pełniła, aż do chwili obecnej, funkcję przewodniczącej zarządu. Wówczas, jeden z członków zarządu firmy zgłosił się do niego z prośbą o pomoc przed przestępczymi działaniami tych ludzi, którzy groźbą i szantażem zmusili go do wyrażenia zgody na założenie w jego lokalu gastronomicznym podsłuchu. Ponieważ lokal ten sąsiadował przez ścianę z biurami zarządu firmy, mieli oni doskonały punkt podsłuchowy, który funkcjonował przez kilkanaście dni. W trakcie tej wymuszonej współpracy, człowiek ten zorientował się, że po przejęciu kontroli przez byłych esbeków, on sam straci pracę i wówczas zdobył się na odwagę, grożąc dekonspiracją ich zamierzeń. Natychmiastowym tego efektem były działania stwarzające dla niego zagrożenia utraty zdrowia, a nawet życia. Przez kilka dni zajmował się sprawą, którą następnie na polecenie komendanta, przekazał do dalszego prowadzenia przez wydział przestępstw gospodarczych, którego działalność po kilku latach nieistnienia, została właśnie reaktywowana. Z tego okresu zapamiętał nazwisko szefowej firmy, ale nigdy, ani wtedy, ani później nie miał okazji, aby ją poznać. Nie wiedział nawet, że jest ona ciotką jednego ze skazanych chłopaków.

Mirecka okazała się kobietą w wieku około pięćdziesiątki, niskiego wzrostu o korpulentnej sylwetce. Jej zachowanie się i sposób mówienia znamionowało kobietę o zdecydowanie stanowczym charakterze, przywykłą do wydawania dyspozycji i kierowania ludźmi. Jednakże te mocno, aczkolwiek bezwiednie, wyeksponowane cechy charakteru, nie pozbawiały jej sympatycznego sposobu bycia i przyjaznego nastawienia do otoczenia.

Po dokonaniu wzajemnej prezentacji, poczęstowała ich mocną kawą, podaną w filuternie małych filiżankach, a następnie w sposób nieco nerwowy, przez co chaotyczny, przedstawiła mu swoją wiedzę na temat zdarzenia, które było powodem zamknięcia siostrzeńca. Z jej wypowiedzi przebijało stanowcze przekonanie o niewinności zarówno jej siostrzeńca, jak i jego kolegi, którzy już od prawie pięciu przebywali w zamknięciu.

Z jej relacji wyłaniał się przerażający obraz bezdusznego wymiaru sprawiedliwości, dla którego człowiek absolutnie i w jakikolwiek sposób się nie liczy. Najważniejsze, według jej osobistych obserwacji, było tylko jedno, jak najszybsze skazanie i zamknięcie sprawy. Nie potrafiła też spokojnie, bez oburzenia posuniętego do nienawiści, opowiadać o zachowaniu się niektórych funkcjonariuszy policji i prokuratorów, którzy, według niej, wyprodukowali fałszywego świadka, tylko po to, aby zamknąć sprawę i mieć kłopot z głową.

- Proszę pana – mówiła gwałtownie – jak można kogoś skazać na podstawie zeznań człowieka, który nie dosyć, że nic nie widział, to jeszcze nawet nie wiedział, o której godzinie działo się to, co przed sądem opisywał. To kpina jakaś, a jeszcze apelacja nawet została odrzucona. Ten człowiek nie widział nic,

co by się wiązało z tym zabójstwem, bo nawet jak widział, że oni tam wchodzili, to jeszcze nie znaczy, że zabili. Do takiego lokalu wchodzi dziennie dziesiątki ludzi, a oni mogli zobaczyć zwłoki i ze strachu, bo to przecież jeszcze dzieciaki były, uciec. Co to za świadek, do jasnej cholery – głos Mireckiej wskazywał na wysoki stopień emocji, co zresztą widać też było z zaciętego wyrazu twarzy.

- Wie pani – starał się być przekonującym w tym, co mówił – ja też jestem przekonany o ich niewinności i dlatego bardzo dziwię się, że adwokat mógł dopuścić do skazującego wyroku. Ja wprawdzie nie znam materiałów procesowych, ale z tego, co wiem, to nie oni tego dokonali, bo zrobił to ktoś zupełnie inny, a co udało mi się ustalić, kiedy się zajmowałem tą sprawą.

- No, to jak to się stało, że pan, policjant przecież, dopuścił do tego, że oni zostali o to zabójstwo oskarżeni. Ja tego nie potrafię zrozumieć i wydaje mi się to wszystko jakieś chore – denerwowała się Mirecka patrząc na niego podejrzliwie.

- Proszę pani, problem w tym, że ja otrzymałem tą sprawę w momencie, gdy ona była już na wokandzie, a nawet było to chyba już w końcowym jej momencie i na to, że zostali oni oskarżeni nie miałem żadnego wpływu – tłumaczył jej cierpliwie.

- Nie bardzo rozumiem. To po co pan się tym miał zajmować?

Wiedząc, że musi uważać na słowa i treść przekazywanych informacji, opowiedział pokrótce, jak to się stało, że sprawa trafiła w jego ręce, jakie otrzymał zadanie i jakie, podjęte przez niego działania, przyniosły efekty. Nie do końca był przekonany, czy udało się mu uwiarygodnić swoje, dobre wówczas, intencje i brak możliwości jakiegokolwiek wpływu na tok, najpierw policyjnego, a później sądowego postępowania. Uzgodnili jednakże, że Mirecka skontaktuje go z adwokatem Bardochem, który przekaże mu kserokopie wszystkich dokumentów procesowych, jakie były w jego posiadaniu, a on zobowiązał się, że po ich przeanalizowaniu przedstawi swoje stanowiska oraz ewentualne propozycje, co do dalszych możliwych kroków prawnych, w sprawie zakończonej przecież już prawomocnym wyrokiem.

Przy pożegnaniu przypomniał jej, aby nie liczyła na zbyt wiele z jego strony, ponieważ jeżeli adwokat nie znalazł sposobu, aby doprowadzić do uniewinnienia, to tym bardziej trudno będzie dokonać tego emerytowanemu oficerowi policji, pozbawionemu jakichkolwiek już wpływów i procesowych możliwości. Zapewnił ją, że według jego skromnej oceny, opartej na razie jedynie na jego bardzo dobrej wiedzy operacyjnej, widzi możliwość doprowadzenia do wznowienia postępowania, aczkolwiek droga do tego może być bardzo długa i trudna.

Rozmowa z Mirecką wywarła na nim spore wrażenie i nie informując o tym swoich rozmówców, zdecydował się na podjęcie wezwania, jakie nagle przed nim się pojawiło. Zdał sobie sprawę, że wiedza, jaką dysponuje, a zwłaszcza pewne dodatkowe informacje przekazane mu przez Mirecką, mogą wykazać, że dwa lata temu miał rację, gdy komendantowi wojewódzkiemu złożył pisemny i bardzo obszerny raport. Zawarł w nim mocno udokumentowane podejrzenie, że akt oskarżenia oparty został na fałszywych zeznania świadka anonimowego, a co gorsza, niektórzy policjanci mający decydujący wpływ na tok śledztwa, byli

tego całkowicie świadomi. Niestety, ku jego wielkiemu zdziwieniu, dokument ten decyzją zastępcy komendanta wojewódzkiego został utajniony, a dalsze działania na nim oparte miano podjąć po tym, jak sąd odeśle sprawę do prokuratury, w celu uzupełnienia materiału dowodowego. Co do tego komendant był świecie przekonany.

Po wyjściu z biura Mireckiej, skierował się do pobliskiego postoju taxi po drodze zastanawiając się, jaki znów powód ma wymyślić, aby usprawiedliwić się przed Magdą, że znów nie udało mu się tych kilku spraw załatwić. Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy więc postanowił, że powie jak było naprawdę.

_ Wiedziałaś, że nie wytrzymasz i znów dasz się wrobić w kolejne cudze problemy. Co to cię w sumie obchodzi, przecież swoje już zrobiłeś i co, teraz się będziesz znowuż narażał ? A poza tym, widać wyraźnie, że z ciebie ten cholerny policjant absolutnie nie wyszedł. Po co się w to pakujesz?, Czy dla ciebie ważniejsi są obcy ludzie niż własny dom– zdenerwowana niekonsekwencją jego postępowania męża Magda, postanowiła, że tym razem nie odpuści i przymusi go do pilnowania własnych, a nie cudzych spraw.